Jednota

10
1965

W NUMERZE M.IN.

Samouświadomienie zboru

Albert Schweitzer
jakiegośmy znali

Sylwetki naszych gości

Czepek pełen uśmiechu

Pozdrowienia z Węgier

Młoda Jednota

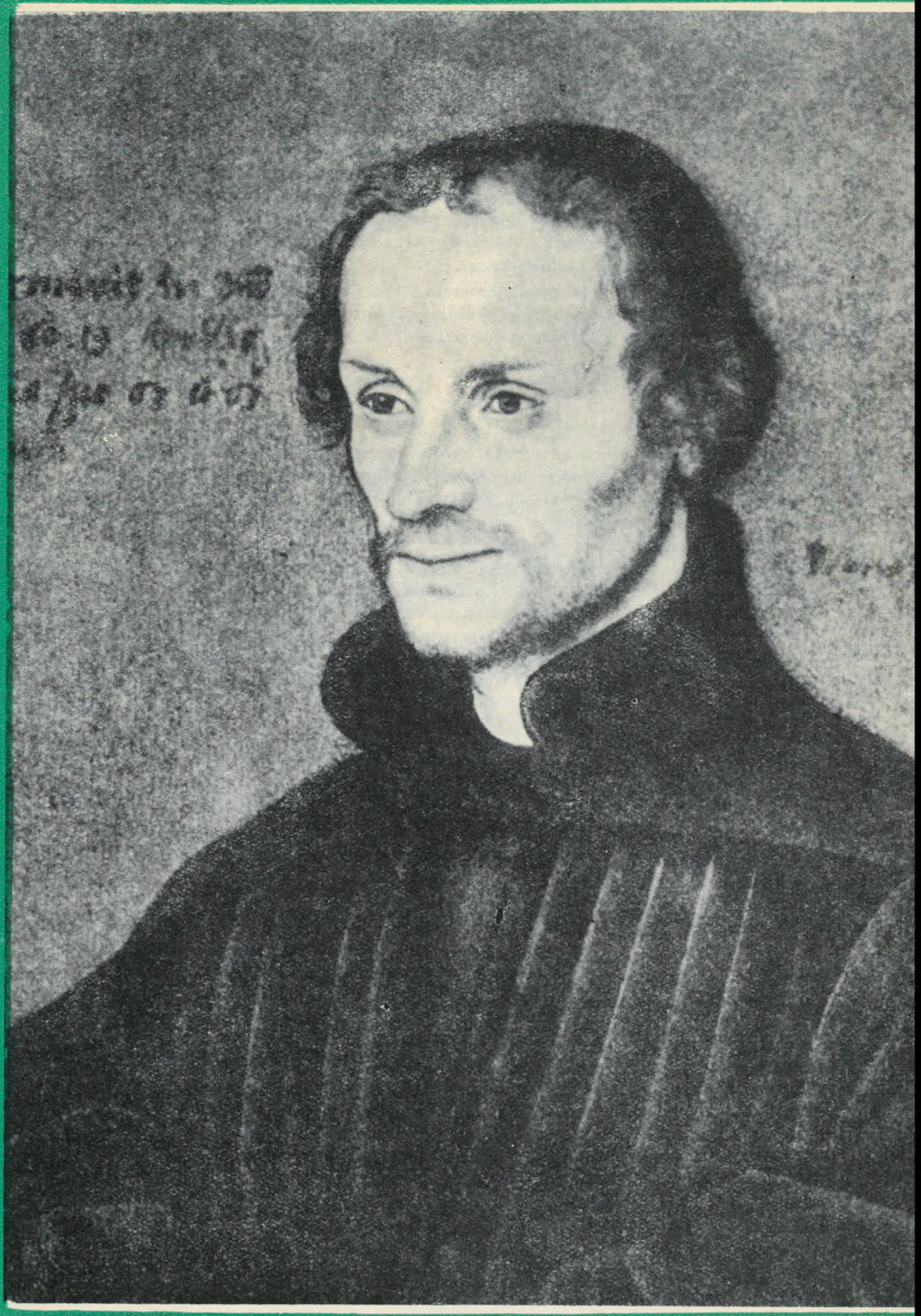

Filip Melanchton
Łukasz Cranach

PISMO RELIGIJNO - SPOŁECZNE

SYNOD KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO W PRL

odbędzie się dnia 21 listopada br. w Warszawie. Temat obrad: Przyjdź Duchu Święty — Przetwórz człowieka — Odnów naszą pobożność i świadectwo. Nabożeństwo synodalne rozpocznie się w kościele przy al. Świerczewskiego 74 o godz. 9,00, a bezpośrednio po nim, w sali parafialnej, zostaną otwarte obrady Synodu.

KOŚCIÓŁ WALDENSÓW W ITALII KRYTYCZNIE O KONKORDACIE

RZYM. — „La Luce", organ oficjalny Kościoła Waldensów w Italii, przyłączył się do głosów krytyki, które podniosły się wśród protestantów włoskich przeciwko konkordatowi zawartemu między Watykanem a rządem włoskim.

W jednym z artykułów nawiązujących do krytycznej wypowiedzi kół rzymskokatolickich skierowanej przeciwko uchwałom II Kongresu Protestantów, oraz do protestu wydanego przez ten Kongres, który wypowiedział się przeciwko wykluczaniu byłych rzymskokatolickich księży z urzędów publicznych i pedagogicznych, pismo „La Luce" stwierdza, że protestanci w żadnym wypadku nie mają zamiaru mieszać się w sprawy innych, muszą jednakże założyć protest przeciwko „mieszaniu się prawa kościelnego do ustawodawstwa publicznego oraz domagają się poszanowania elementarnych praw konstytucyjnych".

„La Luce" dodaje nadto, że uświadamianie i mobilizowanie opinii publicznej, parlamentu i rządu wydaje się być jedyną drogą prowadzącą do zniesienia „ustawy, która jest przeciwna prawu".

BENEDYKTYN NA KAZALNICY W KOŚCIELE ANGLIKAŃSKIM

LONDYN. — Po raz pierwszy od czasów Reformacji na kazalnicy w Westminster Abbey stanął pewien ksiądz rzymskokatolicki, modląc się wraz ze zborem. Bezpośrednią okazją do jego wystąpienia było trzygodzinne nabożeństwo modlitewne o jedność chrześcijan. Nabożeństwo to odbyło się w Święto Przemienienia, w dniu 6 sierpnia br. Wzięli w nim udział protestanccy, anglikańscy i ortodyksyjni chrześcijanie. W dziękczynnej modlitwie, w której zgromadzeni dziękowali Bogu za widoczne obecnie we wszystkich Kościołach chrześcijańskich dążenie do jedności, benedyktyński mnich, O. Edmund Jones powiedział m.in.: „Dziękujemy Bogu za ruch ekumeniczny (...), za łaskę darowaną wszystkim tym, którzy wzywają Jego imienia w ramach Ekumenicznej Rady Kościołów (...), jak również za nową siłę nadaną ruchowi jedności chrześcijan przez papieża Jana...".

UROCZYSTOŚĆ 100-LECIA ARMII ZBAWIENIA

LONDYN. — W końcu czerwca br. minęła setna rocznica powstania „Armii Zbawienia". W uroczystościach jubileuszowych, trwających 10 dni, obok czołowych przedstawicieli Kościoła, rządu brytyjskiego i w obecności członków korpusu dyplomatycznego, wzięła również udział królowa Elżbieta II. Główna uroczystość odbyła się w Royal Albert Hall we wschodnim Londynie.

W IMIENIU „ARMII ZBAWIENIA" królową oraz dostojnych gości powitał gen. Frederick Coutts, ósmy z kolei kierownik tej organizacji, powstałej przed stu laty, w dniu 2 lipca, w dzielnicy biedoty we wschodnim Londynie. Założycielem „Armii Zbawienia" był William Booth.

W jubileuszu wzięli także udział m.in. Michael Ramsey, anglikański arcybiskup z Canterbury, ks. kardynał Heenen — prymas Kościoła rzymskokatolickiego. Obecni byli także: premier rządu brytyjskiego H. Wilson i minister spraw wewnętrznych Sir Frank Sekskice oraz przedstawiciele dyplomatyczni 70 państw. „Armia Zbawienia" reprezentowana była przez 2,5 tys. delegatów ze wszystkich części świata.

W IMIENIU RADY EKUMENICZNEJ, na ręce gen. Couttsa telegram z życzeniami przesłał sekretarz generalny dr Visser 't Hooft. Wyraził on wdzięczność za prowadzoną przez „Armię Zbawienia" na całym prawie świecie pracę ewangelizacyjną i socjalną, oraz za jej udział w ruchu ekumenicznym.

W KILKU WIERSZACH

TAIZÉ. — W dniu 29 sierpnia br. społeczność protestancka w Taizé obchodziła 25-lecie swojego istnienia. Centrum uroczystości jubileuszowych stanowiło poświęcenie nowej kaplicy i ośrodka prawosławnego, które zostały wybudowane na specjalne życzenie patriarchatu ekumenicznego. W uroczystości wzięli udział liczni duchowni protestanccy i prawosławni a także jeden rzymskokatolicki kardynał. Również radio watykańskie, w krótkiej audycji zaanonsowało tę uroczystość, dołączając do niej życzenia z okazji jubileuszu „Społeczności Taizé".

* * *

BUENOS AIRES. — W dniach od 15 do 22 sierpnia br. w rzymskokatolickiej diecezji Buenos Aires zorganizowano „Tydzień Modlitwy" o jedność chrześcijan.

* * *

HAGA. — Holenderska Rada Misyjna rozważa możliwości służby azjatyckich chrześcijan - misjonarzy w Holandii. Do pracy misyjnej w Afryce i Azji tradycyjnie wysyłani byli dotąd misjonarze europejscy i północnoamerykańscy. Tę dotychczasową tendencję rada uznała za nie do utrzymania. Uważa ona nadto, że Kościołom azjatyckim i afrykańskim powinno się stworzyć możliwości, aby mogły one wysyłać swoich misjonarzy do innych krajów, także do tzw. krajów starych i kulturalnych.

* * *

EKWADOR. — Szczep indiański Auca z Ekwadoru liczący 100 ludzi, którego członkowie są odpowiedzialni za śmierć 5 misjonarzy amerykańskich (w 1956 r.) w międzyczasie nawrócił się na chrześcijaństwo. Według relacji dr Towsenda — założyciela i dyrektora towarzystwa Wycliffe Bible Translators — wielu Indian ze szczepu Auca zwiastuje obecnie Ewangelię wśród tubylców. W lipcu br., kaznodzieja tego szczepu ochrzcił dwoje dzieci jednego z zamordowanych w 1956 r. misjonarzy, a także 7 innych tubylców wraz z którymi brał udział we wspomnianej masakrze.

Jednota
ROK VII (XX) Nr 10
Warszawa październik 1965 r.
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

Ks. RYSZARD TRENKLER

Samouświadomienie zboru

1 Tes. 1 : 2—10

Żyjemy w czasach dla chrześcijaństwa ciekawych i osobliwych zarazem. Po wiekach rozdarcia na liczne Kościoły, zaczyna odżywać świadomość niewątpliwej wspólnoty, albowiem wszystkie Kościoły wyszły z jednego pnia i w mniejszym lub większym stopniu mają wiele wspólnego. Istniejące rozdarcie odczuwa się coraz wyraźniej jako stan anormalny, który jest bezsprzecznie wynikiem niedoskonałości człowieka, jego grzeszności. Pragnienie dojścia do porozumienia jest czymś absolutnie pozytywnym. Ocenia je w ten sposób zarówno Kościół rzymskokatolicki, jak prawosławny i Kościoły protestanckie. To, co przez całe wieki uważane było za całkowicie normalne — mam na myśli rozdarcie chrześcijaństwa — to dziś zaczyna niepokoić sumienia ludzkie, że przecież tak być nie powinno, że stan taki jest niezgodny z wolą boskiego Założyciela Kościoła, który w swej arcykapłańskiej modlitwie tak gorąco prosił Ojca niebieskiego, „aby wszyscy byli jedno". Jeżeli dziś Kościół uświadamia sobie swoją winę i robi już bardzo wiele dla spełnienia modlitwy Jezusa Chrystusa o jedność, to należy to uważać za wielki krok naprzód, zbliżający nasze intencje do intencji Jezusa Chrystusa.

Jest atoli w tym samouświadomieniu Kościoła jedno wielkie niebezpieczeństwo, mianowicie: przecenianie tego, co wspólne wszystkim Kościołom chrześcijańskim, a niedocenianie w wielu wypadkach istotnych różnic, być może w sprawach drugorzędnych, ale tym nie mniej ważnych, co do których kompromis mógłby być poczytany za zdradę sprawy Chrystusowej. Dążenie do jedności przybiera niekiedy formy jakiegoś dziwnego liberalizmu, prowadzącego do twierdzenia: właściwie wszystkie Kościoły są równowartościowe, nie ma istotnych różnic, wszędzie wierzy się w Boga. Konsekwencją takiego rozumowania jest wniosek: w takim razie nie ma sensu dalsze utrzymywanie grzesznego podziału, trzeba wrócić do jednego Kościoła. Gdy tak się myśli, podpowiada nam już Kościół rzymskokatolicki, co mamy zrobić. Ponieważ jest Kościołem najliczniejszym i organizacyjnie najsilniejszym, a według jego nauki jedynym prawdziwym,. słyszymy głos: „Bracia odłączeni, my was gorąco kochamy, my najbardziej tęsknimy za jednością z wami, wróćcie do nas!" Entuzjaści z naszej strony, uważający jedność formalną za najwyższe dobro, gotowi są za wszelką cenę pójść za złudnym wołaniem.

Choć wielce sobie cenimy jedność, także formalną, organizacyjną i gorąco jej pragniemy, nie uważamy jej za najwyższe dobro. Dla nas najwyższym dobrem, i chyba słusznie, jest prawda Chrystusowa. Jedność musi być oparta na tej prawdzie, w przeciwnym razie będzie stanowiła kompromis, równający się zdradzie sprawy Chrystusowej.

Gdy się mówi o jedności, ma się najczęściej na myśli jedność dogmatyczną, jedność w nauce, jedność w wierze. Wydaje się, że to jest najistotniejsze. Tymczasem twierdzenie jakiegoś Kościoła, że posiada prawdziwą wiarę, nie jest przekonywującym argumentem. Tak może twierdzić każdy Kościół i niemal każdy to czyni.

Dlaczego ojcowie nasi wyszli kiedyś z rzymskiej owczarni, która zresztą nie była wtedy jedyną owczarnią? Po prostu dlatego, że sięgnąwszy do zakazanej wówczas Biblii, stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że Kościół z chęci panowania nad światem, w pogoni za zyskiem doczesnym, poszedł na kompromis ze światem, ustąpił przed chorobliwymi skłonnościami ludzkimi i utożsamiając Boga z rzeczami materialnymi spaczył ideę Boga, jako niepojętego, niewidzialnego Ducha. Liczne dogmaty, obowiązujące pod rygorem zbawienia i nie znajdujące najmniejszego uzasadnienia w Słowie Bożym: kult świętych, niezdrowa mariologia, kult obrazów, relikwii.... są to rzeczy, wobec których ewangelik musi się wzdragać, jako przed czymś, co jest nie tylko niezgodne z nauką Pisma św., ale wyraźnie jemu przeczy. Są to rzeczy i sprawy, o których nam bardzo trudno jest mówić i pisać, gdy się nie chce dotknąć uczuć tych, dla których Kościół bez tych wierzeń jest niezrozumiały. Ale niech nam ci bracia wybaczą i nie wezmą za złe, jeżeli powiem, że te rzeczy nas gorszą. Reformatorzy

nazywali je po imieniu. Taki to był wtedy zwyczaj. Dziś jesteśmy delikatniejsi.

Postępowanie nasze podyktowane jest umiłowaniem prawdy Chrystusowej. Nie możemy inaczej. Musimy to czynić ze względu na odpowiedzialność za wyznawców naszego Kościoła. Jest naszym obowiązkiem przypomnieć im, że nie dla jakiejś fantazji stanowimy odrębny Kościół, lecz z przyczyn dla nas istotnych. Musimy sobie zdać sprawę, kim jesteśmy i co to znaczy być ewangelikiem. To nie wszystko jedno, jeżeli w każdym Kościele pielęgnuje się wiarę w Boga. Istotnym jest to, jakiego Boga ukazujemy i czy cześć oddawana przez nas Bogu jest czcią „w duchu i w prawdzie". Co tu dużo mówić. Reformacja była i jest odnową chrześcijaństwa w duchu Biblii i oczyszczeniem z ludzkich wierzeń i przesądów głoszonej wówczas nauki Kościoła. Reformacja była i jest wielkim krokiem naprzód w zrozumieniu istoty Kościoła i nauki Chrystusa Pana i z tych względów także nie wolno nam się cofać wstecz. My ewangelicy musimy to sobie stale na nowo uświadamiać a jednocześnie pozwolić sobie przypomnieć tak, jak ap. Paweł w dzisiejszym tekście przypomniał wiernym z Tessalonik, aby pamiętali, że się „nawrócili do Boga od bałwanów, aby służyć Bogu żywemu i prawdziwemu". Tej świadomości nie wolno i nam zaprzepaścić, abyśmy zbyt pochopnie nie poszli za zwodniczymi głosami o jedności, którą trzeba by okupić odstępstwem od prawdy, ukazanej nam w Ewangelii. Nazwa ewangelik zobowiązuje do mocnego trzymania się Słowa Bożego. To słowo jest bezcenne. Nie wolno go nam przehandlować nawet za cenę jedności o wątpliwych walorach.

Nazwa ewangelik zobowiązuje. Ale naszą bronią, naszymi argumentami nie mogą być tylko słowa. „Verba docent, exempla trahunt" – słowa pouczają, przykłady pociągają. Nie wystarczy też być przekonanym o słuszności swojej drogi, o prawdzie i wyższości swego wyznania. Mówi o tym wyraźnie ap. Paweł w dzisiejszym tekście, stwierdzając: „Ewangelia nasza była u was nie tylko w słowie, ale i w mocy i w Duchu świętym". W ogóle to wszystko, co apostoł pisze o chrześcijanach w Tessalonice, którym głosił żywego i prawdziwego Boga, objawionego w Jezusie Chrystusie i których pracą swoją pozyskał dla wiary chrześcijańskiej, jest pozazdroszczenia godnym świadectwem, wydanym kiedykolwiek o jakimkolwiek zborze. Żeby to o naszych zborach można było powiedzieć to samo!

Co święty Paweł podziwia w swoim zborze? Podziwia najpierw „skuteczną wiarę" Tessaloniczan. Cóż to mogło być? Czy sama wiara nie wystarcza? Czy musi być jeszcze skuteczna? A jakaż to jest wiara nieskuteczna? Wiarą chlubi się wielu ludzi, objawia się ona w uznawaniu jakiejś bliżej nieokreślonej mocy, kierującej światem, a jej wyrazem są najczęściej słowne deklaracje. Pozatem życie toczy się tak, jakby się toczyło i bez wiary. Wszystko zostaje po staremu, stare uczynki i grzechy nadal żyją. Tylko to stare, nic nie zmienione życie okadzane jest mitem o wierze w Boga. Daremnie oczekiwałbyś następstw, które by świadczyły, że wiara jest żywą mocą, przeistaczającą całe nasze wrodzone, egoistyczne ja, lub oznak, że kiedyś, bez wiary, było źle, ale teraz, gdy wiara zatriumfowała w moim życiu, stałem się zupełnie nowym człowiekiem. A głosić o

Kochany, niebiański Ojcze! Przyjmij wdzięczność naszą. Pozwól teraz, abyśmy Cię mogli chwalić i niech się to stanie w w całej pełni w naszych sercach, słowach i czynach, pozwól też aby wypełniało się w nas prawo Twoje każdego dnia, a więc jak dzisiaj, tak jutro i pojutrze — przez moc Twego Świętego Ducha!

Utrzymuj i podtrzymuj nas nadal — każdego i każdą z nas! Potrzebujemy tego wszyscy, lecz każdy i każda na swój sposób. Bądź więc i pozostań z nami — ze wszystkimi, którzy tutaj się znajdują, jak również i z naszymi najbliższymi, tymi co blisko i daleko. — Boże, który jesteś naszą pomocą! Bądź i pozostań Tenże niezmienny, nad tym i w tym, co niespokojne i co sprawia niepokój, co przytłacza i co przygniata — we wszelkich ludzkich dziełach i wydarzeniach naszego czasu!

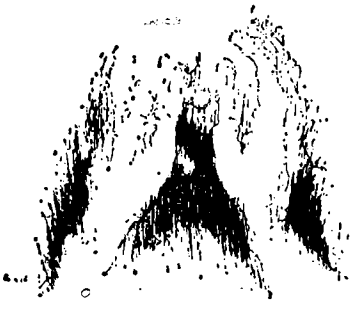

Rzecz i ukaż wszystkim, że nikt dla Ciebie nie jest stracony, ale także to, że nikt nie zdoła ujść przed Tobą! Objaw się wszystkim i wszędzie ,jako Pan pobożnych i niepobożnych, mądrych i głupich, zdrowych i chorych, jako Pan także naszego biednego Kościoła, ewengelickiego i katolickiego i wszystkich innych, — jako Pan dobrych i złych władców, sytych i głodnych narodów, — jako Pan zwłaszcza tych ludzi, którzy dzisiaj tak bardzo dobrze i tak mało dobrze potrafią myśleć, mówić i pisać, — jako Pan i Stróż nas wszystkich, któremu możemy polecić siebie samych, lecz także Pan i Sędzia nas wszystkich, przed którym odpowiemy na Sądzie Ostatecznym i przed którym dzisiaj już ponosimy odpowiedzialność! Wielki, święty i miłosierny Boże! Tęsknimy za Twym ostatecznym objawieniem, kiedy to wszelkie oko ujrzy w pełni, że ten cały stworzony świat i jego dzieje, że wszyscy ludzie i ich losy — były, są i będą w Twej dobrej i mocnej dłoni. Dziękujemy Ci także za to, iż w radości możemy oczekiwać na Twoje objawienie. A wszystko w imieniu Jezusa Chrystusa, w którym już od wieczności nas ludzi umiłowałeś, wybrałeś i powołałeś. Amen.

KAROL BARTH

tym, że istotnie stałeś się odrodzonym dziecięciem Bożym, masz nie ty sam (czuję niesmak, gdy mi kto o sobie tak mówi!), lecz otoczenie, ludzie, którzy się z tobą na codzień spotykają, ci muszą zaświadczyć i głosić. To dopiero jest wiara skuteczna.

Ap. Paweł podziwia u Tessaloniczan jeszcze coś więcej — podziwia ich „pracę miłości". Można się domyśleć co to oznacza. To nie tylko jerozolimski zbór miał swoją Tabitę. Owszem i wśród Tessaloniczan wiara była bogata nade wszystko w wonne kwiaty miłości, a ta woń miłości urzekała całe pogańskie otoczenie, ta woń miłości była tak silna, że przyciągała nowych wyznawców, jak kwiat miododajny przyciąga pszczoły. Przychodzili z bliska i z daleka i pytali się: co się z wami stało? Co sprawiło to przeobrażenie? Przedtem byliście egoistami, wasze dążenia obracały się wyłącznie wokoło własnego ja, a teraz wyrywacie swoje serca, składając je w ofierze na ołtarzu miłości do wszystkich bez wyjątku? I odpowiadali zapewne: czegóż się dziwicie? Przecież myśmy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, który nas tak umiłował, że życie swoje złożył w ofierze, abyśmy wyrwani zostali z gniewu przyszłości, jakżebyśmy mogli tkwić nadal w samolubstwie? Chrystus jest teraz naszym życiem, a Chrystus to miłość!

Cóż jeszcze podziwia Paweł w Tessalonice? „Staliście się naśladowcami naszymi i Pańskimi... staliście się wzorem dla wszystkich wierzących w Macedonii i Achai, albowiem od was rozgłosiło się Słowo Pańskie nie tylko w Macedonii i Achai, ale się też w każdym miejscu rozeszła wiara wasza w Boga, tak, że nie trzeba o tym mówić". Po prostu chodzi o misję. Wciąż mówi się i w naszym Kościele o misji i dobrze że się mówi, ale mówienie nie wystarczy. Głoszenie Słowa jest niezbędne, konieczne, ale misja zacznie czynić postępy dopiero wówczas, gdy ci, którzy z urzędu głoszą Ewangelię, będą ją głosili w mocy Ducha Świętego, a swoją postawą religijną i moralną będą żywym przykładem mocy Ewangelii, a nie zgorszeniem, gdy ci, którzy jej słuchają i ją przyjęli, stanowić będą choć w części odbicie Tego, który we wszystkim był doskonały.

Mówi się, że dziś jest nieodpowiedni czas na misję, że zainteresowania ludzi idą w innym kierunku. Nieprawda. Jeżeli odzyskamy utraconą żarliwość dla sprawy Pańskiej, jeżeli świecić będziemy „pracą miłości" w pozbawionym miłości świecie, jeżeli nie tylko z naszej mowy, ale nade wszystko z postawy życiowej każdy niewierzący będzie mógł wyczytać i przekonać się, że ma do czynienia z zupełnie innym tworem, wówczas wiara chrześcijańska będzie znowu atrakcyjna, będą o niej rozprawiać, jak ongiś, w pałacach królewskich i pod strzechą.

Mówiliśmy na wstępie, że ewangelicyzm to nie to samo, co katolicyzm lub inne wyznania. I to jest prawdą. Nie utożsamiajmy tych Kościołów i wyznań! Kościół, którego korzenie nie tkwią mocno w Słowie Bożym, w Biblii, prawdziwemu chrześcijaninowi niczym nie zaimponuje. Ani sprężystą organizacją, ani bogactwem kultu, ani nawet liczebnością. Ci, których jest więcej, nie zawsze mają rację. Prawda tkwi w Biblii. Słowo Boże jest prawdą i mocą zarazem. Im głębiej w nim tkwić będziemy, im bardziej życie nasze będzie odbiciem doskonałości Bożej, tym liczniejsze będą zastępy tych, którzy w poszukiwaniu prawdy zapukają do drzwi naszego Kościoła. Czy nadal istnieć będziemy, czy się rozwijać będziemy jako Kościół, jako zbór Chrystusowy? W Bożych to jest rękach. Ale w dużej mierze zależeć to będzie od nas samych, od tego, czy zdajemy sobie sprawę, jaki skarb posiadamy w czystym, nie sfałszowanym Słowie Bożym, w sakramentach świętych, sprawowanych według ustanowienia Chrystusa, w kulcie coniedzielnym, wolnym od tanich ceremonii i wypaczeń. Jedność? — owszem, ale nie za cenę wyrzeczenia się prawdy Chrystusowej. Toteż dopóki prawda nie zwycięży w Kościołach, gdzie ludzka mądrość za Bożą uchodzi, dziękować będziemy codziennie za to, że Pan Bóg pozwala nam być „braćmi odłączonymi" — odłączonymi od Rzymu, ale złączonymi z Chrystusem.

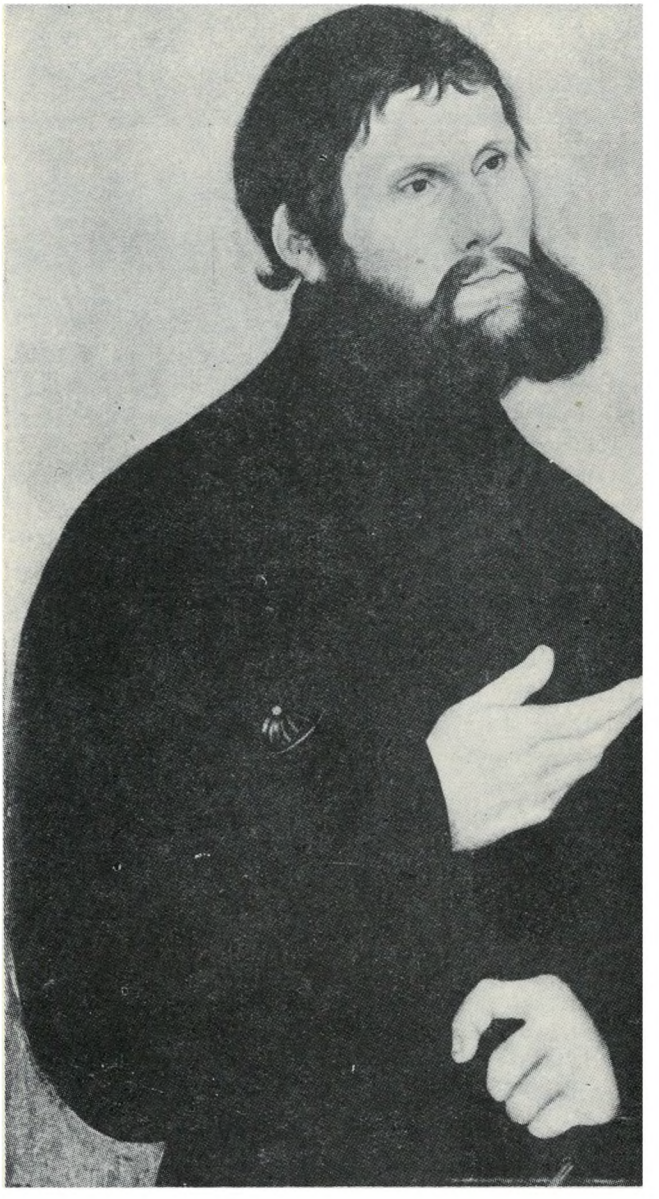

ks. dr EMIL JELINEK

ALBERT SCHWEITZER, jakiegośmy znali

Albert Schweitzer nie żyje. Umarł w sobotę, 4 września. Któż by nie znał starszego pana z dziko rozwianymi włosami, w staromodnym garniturze, w wymiętoszonym kapeluszu i z legendarną, blaszaną walizką w ręce. Trochę niby profesor, trochę niby pastor. Tak przynajmniej wyglądał w Europie. W Afryce, w której spędził większą część swego długiego życia, chodził w tropikalnym hełmie, w wielokroć pranej białej murzyńskiej bluzie i w łatanych spodniach barwy khaki, słowem typowy Afrykańczyk. Uduchowione oblicze, a ręce cieśli, ręce, które nie tylko pisały, operowały, grały na organach, ale również nie bały się uchwycić potężny konar drzewa w miejscu niezupełnie czystym, ale za to na pewno najcięższym. A przede wszystkim te oczy, dobrotliwe, niezapomniane oczy! Z każdym rozmawiał jednakowo, z Murzynem, robotnikiem i z koronowaną głową. Po mowie poznasz człowieka. Ten stary pan zawsze mówił skromnie i tak jakoś zwyczajnie. W rozmowie z uczonym filozofem i teologiem, lekarzem czy muzykiem nie używał żargonu ludzi uczonych, a kiedy już napisał uczoną książkę, to z zakłopotaniem pytał, czy będzie ją rozumieć zwyczajna praczka. Taki to był już Albert Schweitzer.

Albert Louis Philipp Schweitzer po maturze w 1893 r. jedzie do Paryża. Zatrzymuje się u wuja kupca i studiuje grę organową u Charlesa Marie Widora, organisty w Saint Sulpice. Jesienią tegoż roku zapisuje się na wydział teologiczny w Strasburgu. Po złożeniu pierwszego egzaminu teologicznego decyduje się studiować ponadto filozofię, a doktoryzować się w tym zakresie w Paryżu, aby móc tam jednocześnie u Widora studiować swoje ukochane organy. W latach 1905—1912 wśród gorliwych studiów teologicznych, ma jeszcze tyle wolnego czasu, aczkolwiek w szkole średniej był tylko bardzo miernym uczniem, że w dalszym ciągu oddaje się grze organowej, a nawet technice ich budowy, poświęcając jej nawet specjalne studium naukowe (Deutsche und französische Orgelbaukunst, 1906).

Już w 1896 r. młody, 21-letni student postanawia, że do 30 roku życia będzie studiować, oddawać się muzyce i pracy kaznodziejskiej, ale później poświęci się praktycznym zajęciom w służbie ludziom. Jakie to będzie zajęcie, tego jeszcze sam w tym czasie nie wiedział, w każdym razie nie myślał jeszcze o powołaniu lekarza w podrównikowej Afryce. Decyzji tej pozostał wierny, aczkolwiek pokusy życiowe chciały go zwieść na spokojną drogę kariery naukowej. Kiedy w 3 lata później kończy studia filozoficzne dysortacją o filozofii religijnej Kanta, młodemu uczonemu zaproponowano karierę naukową na wydziale filozoficznym, ale 24-letni młodzieniec kuszącej propozycji nie przyjmuje: na razie pragnie pozostać wierny pracy kaznodziejskiej, której poświęca dalsze 14 lat. W tym okresie, w latach 25—38 swego życia, Schweitzer opracowuje swoje główne dzieła teologiczne. W Europie powstaje monumentalna praca o życiu Jezusa, a częściowo w Europie, częściowo zaś już w Afryce praca o apostole Pawle. Czyż to nie ciekawe? Wielkiego chrześcijanina interesują dwaj wielcy twórcy chrześcijaństwa, Jezus i Paweł.

I oto wśród tego rodzaju zainteresowań i zajęć, do rąk Schweitzera dostaje się w 1905 r. sprawozdanie z działalności paryskiego towarzystwa misyjnego. Młody uczony, pastor i organista dowiaduje się z niego o nędzy czarnej ludności wielkiego afrykańskiego kontynentu. W życiu Schweitzera zapada natychmiast decyzja: muszę im pomóc, pójdę do tych nędzarzy jako lekarz i kaznodzieja. W owym czasie Schweitzer jest nie tylko pastorem i organistą, ale i kierownikiem alumneum teologicznego w Strasburgu. Wszystko to nie przeszkadza mu zapisać się na wydział medyczny, aczkolwiek przyjaciele i znajomi starają się mu to odradzić. Decyzja Schweitzera jest jednak niezłomna. Pracy ma tyle, że aby nie usnąć w nocy nad skryptami medycznymi, trzyma nogi pod stołem w naczyniu z zimną wodą. W tym samym okresie jeździ z koncertami organowymi do Paryża, do Barcelony i do Niemiec, ba, nie dość tego, pisze jeszcze książkę o swym umiłowanym Bachu. Pod koniec 1911 r. składa ostateczny egzamin medyczny, poczem oddaje się specjalnym studiom chorób tropikalnych oraz pisaniu dysertacji „Die psychiatrische Beurteilung Jesu". Nie była to wielka praca, obejmowała zaledwie 46 stron, ale zajęła ona Schweitzerowi rok pracy, wypełniony pracą wolontariusza szpitalnego. W 1912 r. Schweitzer żeni się z Heleną Bresslau, córką historyka strasburskiego, która stała się nie tylko oddaną małżonką, ale i gorliwą współpracownicą, zrazu jako korektorka jego dzieł, a później w Afryce jako pielęgniarka chorych.

W Wielki Piątek, 26 marca 1913 r., młodzi małżonkowie opuszczają wśród bicia dzwonów rodzinny Günsbach, a w kwietniu wraz z 70 skrzyniami medykamentów i sprzętu szpitalnego przybywają do Lambarene .

Co właściwie skłoniło Schweitzera do wyjazdu do Afryki? W pierwszym rzędzie świadomość, że „chrześcijańskie" narody uciemiężyły miliony Murzynów i wytępiły połowę czy nawet 2/3 pierwotnej ludności czarnego lądu swoją polityką eksterminacyjną (np. na wyspie Fernando Po), przymusowymi robotami i nieludzkim wyzyskiem, głodem, gruźlicą, grypą, syfilisem, tytoniem i alkoholem. Podczas pierwszej wojny światowej tysiące Murzynów pełniło funkcję tragarzy a dalsze tysiące tworzyły czarne dywizje i umierały w potokach krwi na froncie zachodnim... Takie było chrześcijaństwo białych, cywilizowanych narodów. Oto najgłębszy motyw decyzji Schweitzera.

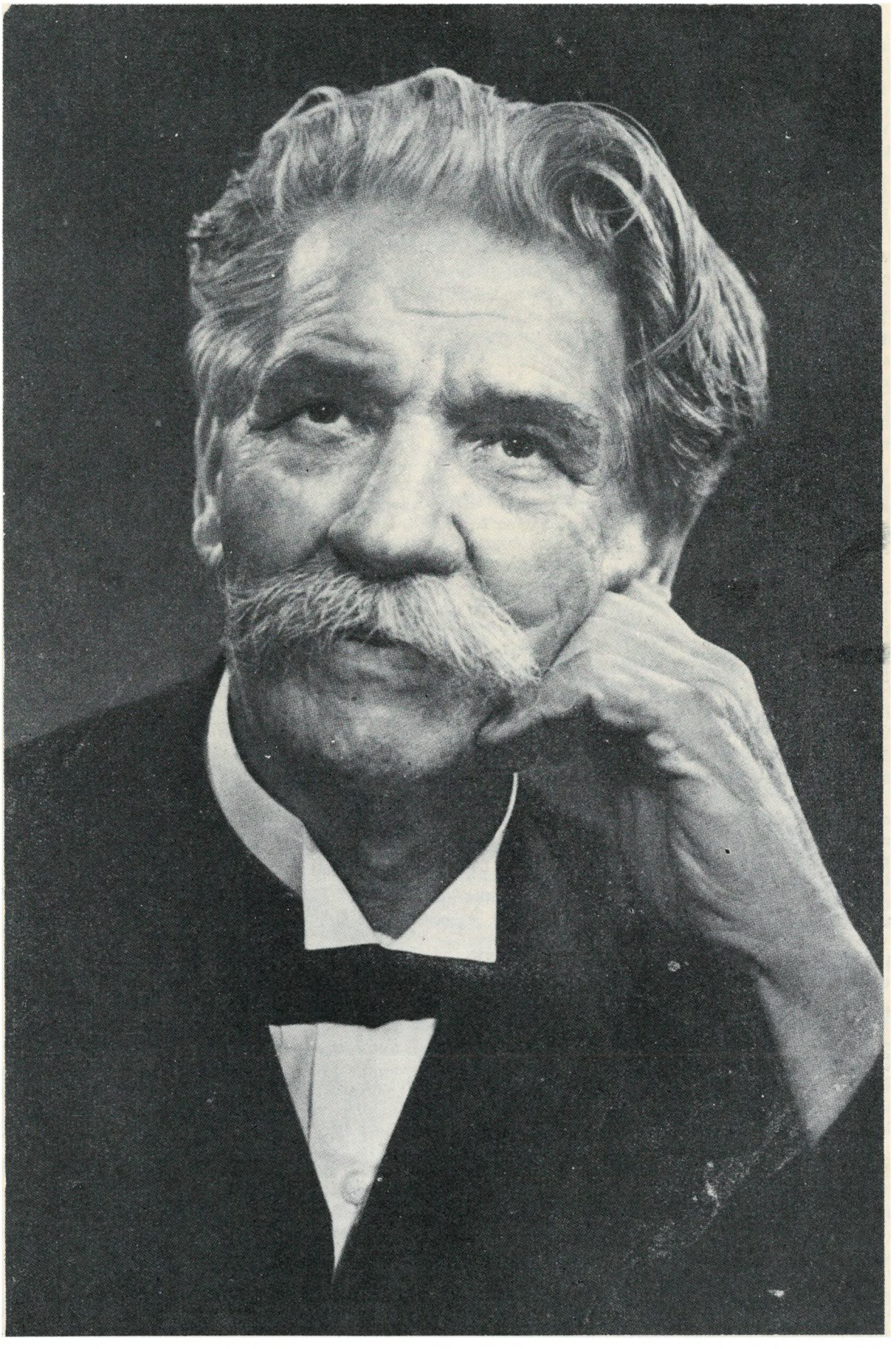

Niestety, nie było mu dane długo pracować w Afryce. We wrześniu 1917 r. władze francuskie polecają Schweitzerowi i jego żonie jako alzackim Niemcom opuścić okupowane przez siebie tereny afrykańskie i udać się do Francji do... obozu jeńców, z którego po pewnym czasie wydostają się na wolność. W zubożonym stanie zdrowotnym i finansowym Schweitzer udaje się do Strasburga i przyjmuje obowiązki wikariusza. Uczony pisarz, doświadczony kaznodzieja, doskonały muzyk i sumienny lekarz skromnym wikariuszem! Czy to nie upokarzające? Podczas świąt Narodzenia Pańskiego 1919 r. na niewesołą sytuację Schweitzera pada jasny promyk światła i nadziei w postaci listu arcybiskupa Uppsali dr Nathana Söderbloma, zapraszającego Schweitzera na kilka koncertów organowych do Szwecji.

Z pomocą wielu przyjaciół w Alzacji, Szwecji, Anglii i Szwajcarii koncerty, odczyty i praca literacka dostarczają Schweitzerowi takich środków, że może podjąć drugą wyprawę do swej ukochanej Afryki. W porcie Bordeaux zostaje załadowane ponownie 70 wielkich skrzyń sprzętu szpitalnego i 4 worki nie załatwionej dotąd korespondencji. Tym razem Schweitzer jest już znaną osobistością, utrzymującą szerokie stosunki korespondencyjne. W roku następnym pojawia się na półkach księgarskich pierwsza naukowa praca o Albercie Schweitzerze pióra praskiego filozofa, dr Oskara Krausa.

W tym okresie kończy Schweitzer swoje drugie wielkie teologiczne dzieło o mistyce apostoła Pawła, do którego zabrał się wnet po wydaniu „Dziejów badań nad życiem Jezusa" i poświęcił mu kilka lat skrzętnej pracy (1906—1913), przerywanej studiami medycznymi, pracą profesorską, koncertami i działalnością kaznodziejską. Kiedy pojawiło się pierwsze wydanie książki o Jezusie, Schweitzer był jeszcze młodym, zaledwie 30-letnim profesorem, teraz kiedy wydawał swojego „Pawła", był już dojrzałym 55-letnim lekarzem i misjonarzem. Podczas gdy „Dzieje badań nad życiem Jezusa" wywołały gorące sprzeciwy i żywą polemikę, a niektóre jego koncepcje, szczególnie jeżeli chodzi o mesjaniczną świadomość Jezusa, po dziś nie zostały uznane, to dzieło pt. „Mystik des Apostels Paulus" zostało przyjęte od razu bardzo przychylnie.

Jakież jednakże było zdziwienie uczonych krytyków, teologów i filozofów, kiedy Schweitzer w 1934 r. wydał niespodziewanie dzieło z zakresu indologii (Die Weltanschauungen der indischen Denker). Widnokręgi umysłowe Schweitzera były jednakże jeszcze szersze. Dalsze publikacje poświęca najaktualniejszym zagadnieniom światowym. Są to odczyty „Das Problem des Friedens in der heutigen Welt", oraz trzy mowy pt. „Friede und Atomkrieg", opublikowane w 1958 r. Od 1955 r. Schweitzer przestał przemawiać przez radio i film, których dotąd często używał.

Schweitzer w 60 roku życia zyskał sławę europejską, w 70 roku życia był już osobistością znaną i czczoną na całym świecie. Życiowe sukcesy i sława w niczym jednakże nie zmieniły starego lekarza. Udając się w podróż do Szwecji dla odebrania nagrody Nobla, został ze zgorszeniem zagadnięty przez jakąś wybitną osobistość, dlaczego jeździ 3 klasą. Schweitzer z niezmąconym spokojem i w najlepszej intencji odparł skromnie: „Ponieważ nie ma czwartej". A wiadomo, że potrafił jeździć jeszcze pośledniejszą klasą w prymitywnych wagonach bez ławek, zatłoczonych niechlujnymi Murzynami, z którymi jadał ze wspólnej misy.

Schweitzer miał jednakże poczucie własnej godności. Ten wspaniały rys charakteru przypomniał prezydent NRF, prof. dr Theodor Heuss, kiedy w 1951 r. wręczał mu nagrodę pokojową. Dr Heuss powiedział wtedy między innymi: „Raz Goebbels wpadł na szalony pomysł zaproszenia Pana jako atrakcji dla Niemców na koncerty i odczyty do Rzeszy, a zaproszenie swoje zakończył dumnym „Mit deutschem Gruss", na które Pan, Drogi Schweitzerze, odpowiedział odmownie, kończąc swoje pismo nie mniej suwerenną formułą „Mit zentralafrikanischem Gruss"!

Życie Alberta Schweitzera związane było nierozłącznie z Lambarene. W ciągu swej 40-letniej pracy w Afryce (1913—1917; 1924—1965) Schweitzer trzykrotnie budował swój szpital i to własnymi rękami: w 1913 r. na samym początku swej pracy, w 1924 r. po przerwie wywołanej wojną, podczas której zabudowania szpitalne uległy całkowitemu samozniszczeniu w gorącym i wilgotnym klimacie dżungli i wreszcie w 1927 r., kiedy to zaszła potrzeba rozszerzenia obiektu i przeniesienia go na dogodniejszy teren.

Dziś, na przestrzeni 60 hektarów, stoi 50 budynków i rośnie 100 drzew palmowych i mango, zaopatrujących osadę w doskonały olej, owoce i cień. Osada liczy około 800—900 obywateli, w tej liczbie 500—550 chorych wraz z 15 trędowatymi, przebywającymi w specjalnym, oddzielonym od właściwego obiektu szpitalnego leprozjum), 350 krewnych i członków rodzin pacjentów, 30 czarnych pracowników oraz 20 białych (3—5 lekarzy, 7—9 pielęgniarek oraz 5—20 pacjentów). Czarni i biali chorzy szukają w Lambarene ratunku i pomocy z okolic rozrzuconych w promieniu 300—500 km, odbywając podróż nieraz trwającą całe tygodnie. Na terenie szpitalnym mówi się 15 tubylczymi językami.

Lambarene jest dziełem jednego człowieka, jest instytucją całkowicie niezależną od jakichkolwiek towarzystw misyjnych. Utrzymuje się samo. Zrazu starał się o nie tylko sam jego założyciel swymi koncertami, odczytami i pracą literacką. Dziś na całym świecie powstały specjalne związki i grupy miłośników Schweitzera i jego dzieła, wspierające zbożne dzieło wielkiego człowieka nie tylko modlitwą, ale i środkami materialnymi.

Mimo to Schweitzer nie był świętym nawet w tym sensie, w jakim go pragnęła widzieć przed kilku laty „Panorama" (nr 391 z 5 listopada 1961, „Święty w dżungli"), której nie przeszkodziło to zapomnieć jednak o tym, co Schweitzera robiło Schweitzerem, a co było — jak słusznie zauważył wówczas katolicki „Tygodnik Powszechny" — motorem całej jego działalności: wiara i głębokie życie religijne. Mówić o Schweitzerze jako o świętym, ni słowem nie wspomniawszy o jego chrześcijaństwie, to co najmniej gruba niekonsekwencja i kompletne niezrozumienie osobowości wielkiego człowieka.

Albert Schweitzer został pochowany nazajutrz po śmierci, w niedzielę 5 września 1965 r. w Lambarene, obok żony, na brzegu rzeki Ogowe.

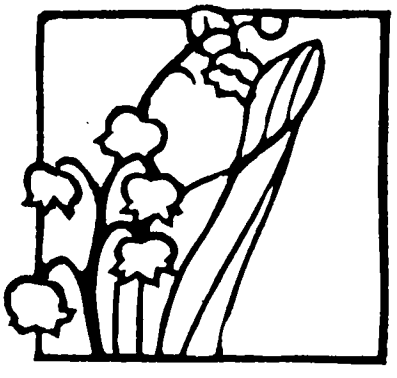

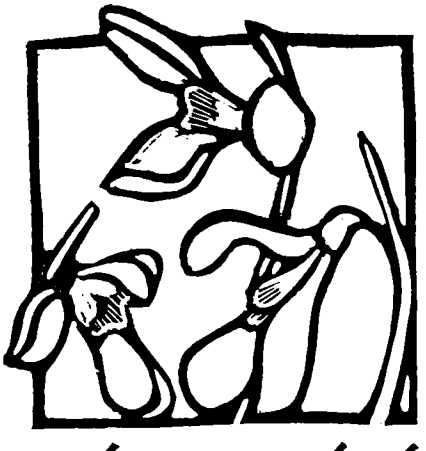

KS. ZBYŇEK HONZAL

W ostatnich dniach lipca i na początku sierpnia bawił w Polsce przez kilkanaście dni ks. Zbyňek Honzal z Czechosłowacji. Korzystając ze spotkania z nim przeprowadziliśmy krótką rozmowę dla „Jednoty".

Miło nam, że korzystając ze swego urlopu przybył Ksiądz do naszego kraju. Czy zechciałby Ksiądz krótko opowiedzieć gdzie i od jak dawna Ksiądz pracuje?

Pracuję już od 14 lat w jednym ze zborów wschodnio-czeskich, w Letohradzie. To mój pierwszy zbór, który objąłem po zakończeniu swych studiów w Pradze na Wydz. Teologii im. J.A. Komeńskiego. Drugi zbór, który od 2 lat znajduje się pod moją opieką, to Králiky. Obydwa zbory liczą w sumie około 770 osób, ale członkowie nie mieszkają niestety w skupieniu, lecz rozrzuceni na bardzo rozległym terenie (w promieniu około 70 km). W tych warunkach praca nie jest łatwa, a w wypełnianiu obowiązków pomaga mi lekki motor „Pionier" (50 ccm).

Co skłoniło Księdza do przyjazdu do Polski i do odwiedzenia zborów w Zelowie i Kucowie?

Istnieje kilka powodów. Skłonił mnie do tego kurator zboru w Králikach, br. Tomesz, który przed wojną mieszkał w Zelowie, a do dziś ma bliską rodzinę — brata i siostrę w zborze kucowskim.

Ale o tym, że w Kościele reformowanym w Polsce istnieją zbory czeskie wiedziałem już dawniej od mego pastora z lat młodzieńczych, ks. Karola Matejki, który pochodził z Zelowa. Za czasów jego pracy w moim rodzinnym mieście — Strumilowie, wstąpiłem do czeskobraterskiego Kościoła ewangelickiego. Przedtem byłem rzymskim katolikiem. W dziedzinie duchowej ks. Matejka bardzo dużo mi dał. Od dawna marzyłem, abym mógł poznać środowisko, z którego pochodzi ks. Matejka, kurator Tomesz i jego szwagierka, zamieszkała również w Králikach. Dzięki tygodniowemu pobytowi w Kucowie i 2-dniowemu w Zelowie udało mi się to w pełni.

Z naszej korespondencji wiem o zainteresowaniu Księdza sztuką. Czy zechciałby Ksiądz coś powiedzieć o tej dziedzinie swych zainteresowań, i w jaki sposób łączy Ksiądz swe zainteresowania z pracą w Kościele?

Istotnie, interesuje mnie bardzo sztuka, a szczególnie grafika, którą się od dawna, ale tylko po amatorsku, zajmuję. Ponieważ mam pewne zdolności w tej dziedzinie, postanowiłem je wykorzystać w mojej służbie kościelnej, przede wszystkim w pracy z dziećmi. Przygotowuję mianowicie techniką linorytową tzw. złote teksty dla szkół niedzielnych w kilku zborach. Złote teksty są ilustrowane obrazkami związanymi z tekstem, bądź też, jak to robię w ostatnim czasie, konturami kwiatów, które dzieci wypełniają odpowiednimi kolorami.

Od czasu do czasu przygotowuję grafiki na uroczystości zborowe, exlibrisy, czasem grafiki dla „Kostnickich Jisker".

Oczywiście, przy pracy zborowej nie mogę tym zainteresowaniom poświęcić zbyt wiele czasu. Moim pierwszym celem i zasadniczym zadaniem jest praca duchownego i zwiastowanie ludziom Ewangelii, która mnie przyprowadziła do Chrystusa.

Dziękujemy Księdzu za rozmowę i życzymy błogosławieństwa Bożego w Jego życiu i pracy.

rozmawiał Z.T.

ZŁOTE TEKSTY PRZYGOTOWANE W TECHNICE LINORYTOWEJ DLA DZIECI SZKOŁY NIEDZIELNEJ

Ks. ZDZISŁAW TRANDA

CZEPEK PEŁEN UŚMIECHU

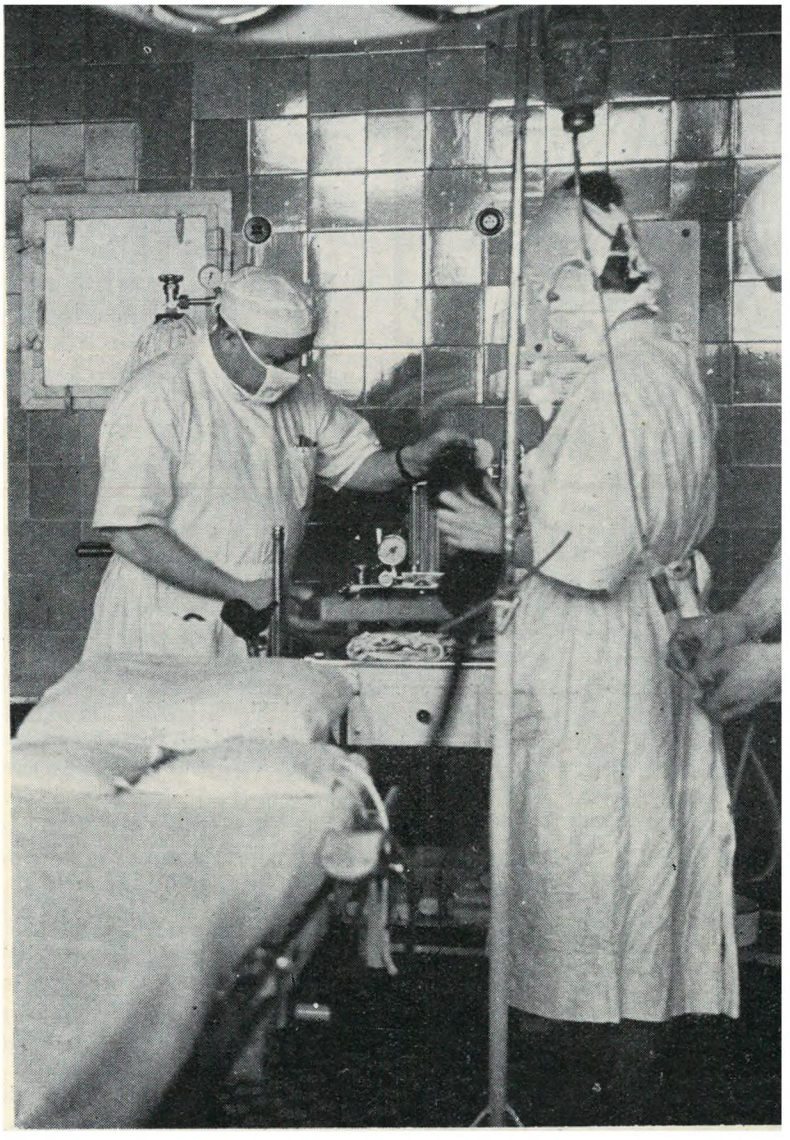

24 DNI SPĘDZONE W SZPITALU, najpierw na badaniach, a potem w związku z bądź co bądź poważną operacją, to dosyć czasu, aby przyjrzeć się życiu szpitalnemu, doli i niedoli chorych, pracy personelu: lekarzy, pielęgniarek, salowych. I dosyć czasu, aby wyrobić sobie zdanie o tych, którzy pracy szpitalnej poświęcili swoje siły. Oczywiście, wszędzie są ludzie i ludziska i pewno dlatego można się spotkać czasem ze zdaniami dyskredytującymi życie i pracę w szpitalu, zdaniami, które mogą wypowiadać ludzie bardzo jednostronnie patrzący i oceniający. Ja miałem szczęście być w rękach i pod okiem ludzi, którzy z sercem wykonują swoją pracę i dlatego pod tytułem „Czepek pełen uśmiechu", uśmiechu dla chorych, chcę wypisać pochwałę szpitala oraz wyrazić swoje uznanie dla tych, którzy w pełnej trudu i znoju pracy ratują zdrowie, a często nawet życie ludziom chorym, ludziom cierpiącym, ludziom oczekującym i potrzebującym pomocy. Ten trud i znój, a przede wszystkim serce w pracy lekarza, pielęgniarki, czy salowej nie mogą zostać przesłonięte przez niedostatki, wynikające z trudności naszej Służby Zdrowia. Ten trud i znój są rzeczywiście ogromne. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że wciąż jeszcze w naszym kraju jest zbyt mało szpitali, a co za tym idzie, o wiele za mało łóżek, na których należałoby położyć ludzi, potrzebujących leczenia szpitalnego. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że personel w szpitalach jest niezbyt liczny, co powoduje, szczególnie w okresie urlopów, jeszcze większe przeciążenie pracą całego personelu, a czasami każe zdać się na pomoc pacjentów szpitalnych, którzy bądź przebywają na obserwacji, bądź też jako rekonwalescenci czują się na tyle dobrze, że mogą nie tylko koło siebie to i owo zrobić, ale jeszcze innym, bardziej chorym pomóc. To ostatnie ma tę dobrą stronę, że w salach wytwarzają się w pewnym sensie rodzinne stosunki, jedni drugim starają się pomóc, jedni drugim chcą usłużyć. Gorzej, gdy znajdzie się typ aspołeczny, który uważa, że wszystko musi mieć podane, że wszystko musi mieć koło siebie zrobione. A przecież, gdy na popołudniowym i nocnym dyżurze na oddziale, na którym leży 50—60 chorych, jest tylko jedna pielęgniarka i jedna salowa, to te dwie ręce pielęgniarki i dwie ręce salowej są pełne roboty przy tych, którzy — ciężko chorzy — niemal nieustannie potrzebują pomocy. To kro-

plówka, to transfuzja krwi, to jakiś lek, czy zastrzyk, to podanie łyżki wody lub zwilżenie „lizakiem" spieczonych ust, to interwencja i pomoc przy wymiotach, to poprawienie poduszki, to jakakolwiek z tych najprostszych posług przy chorym człowieku. A gdy przyjdzie ostry dyżur, których jest w miesiącu 7—8, a więc mniej więcej co 4 dni, oznacza on dla lekarza 24 godziny nieustannej służby, nieustannej pracy na oddziale i sali operacyjnej, a po tych 24 godzinach, w ciągu których często nie ma chwili wolnej, aby zdrzemnąć się dla wytchnienia, po tych i takich 24 godzinach jeszcze normalna, codzienna praca na oddziale, potem jeszcze jakaś przychodnia, ambulatorium, gdzie znowu czekają chorzy. I dopiero wieczorem, po dwóch dniach i nocy pracy, tak wyczekiwany i tak potrzebny sen.

A chorzy?... Jakże różni bywają chorzy, przy których trzeba pracować. Różni — ze względu na stan zdrowia, różni ze względu na zachowanie, różni ze względu na charakter. Bywają przywożeni ludzie u kresu sił i u kresu życia, a także z niewinnymi obrażeniami ciała, które tylko w pierwszych godzinach wyglądają groźnie i więcej strachu napędzają ofiarom, aniżeli cierpienia. Przyjeżdżają ludzie, którzy w odpowiedniej chwili zatroszczyli się o swoje zdrowie i przywożeni bywają ludzie, którzy w sposób, powiedziałbym, karygodny zaniedbali swoją chorobę i przez lekkomyślność lub przez tchórzostwo znaleźli się na krawędzi życia i śmierci. Bywają pacjenci cierpiący i cierpliwi, bywają też ponad miarę niecierpliwi, przewrażliwieni. Bywają ludzie zgodni i usłużni, bywają też typy niemożliwie aspołeczne, nieżyczliwe, zgryźliwe, zatruwające życie innym pacjentom i personelowi. Bywają ludzie pogodni i pełni życzliwości, bywają też niewdzięcznicy, niezadowoleni z niczego i z nikogo. Bywają ofiary pijackich motocyklowych eskapad lub awantur chuligańskich, bywają ludzie wyrwani śmierci spod tramwaju, bywają ofiary czyjegoś obłędnego szału. Różni ludzie... różne charaktery. I przy wszystkich pełnią swoją służbę: lekarz, pielęgniarka, salowa.

A oto kilka obrazków.

Był młody mężczyzna, z kontuzjowaną ręką. Miał trochę w czubie i spadł komuś z motocykla. Mój poprzednik, którego łóżko zająłem po przybyciu do szpitala, niezachęcająco mi go zarekomendował:

— To obrzydliwy typ.

Wygląd miał, rzeczywiście, trochę chuligański. Ale trzeba było go widzieć i słyszeć, gdy przywieziono w czasie ostrego dyżuru 13-letniego Bronka, po operacji wyrostka robaczkowego. Jak ciepło i serdecznie do niego przemawiał i pocieszał go. Chuligan? Chyba coś szlachetnego żarzyło się gdzieś w jego wnętrzu.

Innym razem przywieziono podczas ostrego dyżuru, wczesnym popołudniem, młodego chuligana, który znał już więzienie, a w izbie wytrzeźwień bywał częstym gościem. Lat miał zaledwie 19, a przywieziono go do szpitala, bo w pijackim szale żyletką poprzecinał sobie żyły. Nie to wszakże stanowiło dla lekarzy powód walki o jego życie. To, co spowodowało, że znalazł się na krawędzi śmierci, było zatrucie alkoholem. Gdy go po opatrzeniu ran złożono na łóżku, jakże on przeraźliwie wrzeszczał:

— Mamooo! Mamooo! — ale to nie był krzyk rozpaczy. To był raczej wrzask tchórza, który poczuł trochę bólu. Chuligani nie są bohaterami, gdy trzeba trochę pocierpieć. A potem — wiązanka najgorszych brudów wobec lekarzy i pielęgniarek. A potem... mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, kilkunastogodzinna walka lekarzy i pielęgniarek o życie... chuligana i pijaka. Bywały długie chwile, kiedy przy jego łóżku pracowało czterech lekarzy i dwie pielęgniarki. Gdy o 3-ej nad ranem zbudziłem się i wyszedłem na korytarz, walka jeszcze trwała, a przy łóżku chuligana jeszcze trwali dwaj lekarze i dwie pielęgniarki — jedna ze swej nocnej zmiany i druga, z prywatnego dyżuru przy jednym z chorych. Przyszła pomóc koleżance.

Czas, siły, energia, krew do transfuzji — wszystko ofiarowane człowiekowi, który na pewno niczego się nie nauczył i gdy wróci do swego środowiska, być może wkrótce stanie się znowu „bohaterem" jakiejś awantury.

Walka o życie po kilkunastogodzinnym uporczywym boju zakończona zwycięsko. Ale... czy warto? Lekarz mówi: nie mogę nie walczyć!

Kiedy indziej przywieziono na oddział chorą u kresu sił. Sina, zbolała, wymęczona niemal do ostateczności. Jakaś zaniedbana choroba — bodajże zapalenie trzustki. Choroba zaniedbana, bo... pacjentka bała się operacji. Przesadny lęk? Lekkomyślność? Cokolwiek było tym złym doradcą, stało się przyczyną znalezienia się człowieka nad przepaścią. I znowu wielogodzinna, w dzień i w nocy, walka o życie człowieka. Jakże wielkim jest ono darem Stwórcy.

Inny obrazek. Niestary jeszcze człowiek, chory na raka, po operacji z powodu niedrożności jelit. Wie o swojej chorobie, może tylko nie uświadamia sobie w pełni, że przed nim w najlepszym razie zaledwie kilka miesięcy życia. Mimo to ileż w nim pogody i wewnętrznego spokoju, które dała mu wiara. O, właśnie, jedna z ilustracji błogosławieństwa i szczęścia wiary! Także przy tym chorym lekarz i pielęgniarka mają co robić. Od rana do wieczora dyżuruje co prawda żona. Przyjemność sprawiało obserwowanie tego małżeństwa. Znowu ilustracja tego, co znaczy prawdziwa miłość dwojga ludzi i co znaczy poważnie traktować ślubowanie: „...i nie opuszczę cię, aż nas Bóg przez śmierć rozłączy". Ale w nocy we wszystkim musi usłużyć pielęgniarka i salowa. A w dzień — wszystkie zabiegi, opatrunki, leki, które mogą przynieść tylko ulgę, zdrowia już nie wrócą — to wszystko także w rękach lekarza i pielęgniarki. Pomyśl o uczuciu lekarza, który wie, że już nie może uratować, że może tylko ulżyć w cierpieniu.

Pełna trudu i znoju służba, za którą ten, co ją pełni, nie zawsze usłyszy zwykłe, najprostsze: dziękuję.

A gdy mimo to widzisz podczas obchodu lub badania serdeczne spojrzenie lekarza, gdy słyszysz ciepłe, pełne otuchy słowo, czasem i żart, gdy czujesz na sobie życzliwą rękę tego, który cię leczy, jakże wiele to jest warte! I jakże Tobie, Doktorze, za to dziękować!

Gdy pod białym czepkiem z jednym czarnym poprzecznym paskiem lub dwoma ukośnymi, widzisz jasną, uśmiechniętą, mimo trudnej i ciężkiej pracy, twarz pielęgniarki, gdy czujesz przy zabiegu delikatną jej rękę i życzliwe, a czasem pełne humoru słowo, jakże wiele to dla ciebie, chory człowiecze, znaczy. I Tobie, Siostro, dzięki! Dzięki za delikatność i subtelność, dzięki za ten „czepek pełen uśmiechu"!

Wśród ludzi, którzy krzątają się nieustannie pomiędzy chorymi jest także salowa. Sprząta, zmywa podłogi, froteruje, ściele łóżka, podaje jedzenie, wozi chorych na operacje i prześwietlenia, dźwiga razem z pielęgniarką bezwładne ciała ludzi, którzy są już po operacji, a nie zbudzili się jeszcze z narkozy, usługuje w najróżniejszych potrzebach chorym, którzy nie mogą wstawać, karmi. Ileż to razy widziało się i pielęgniarkę i salową, karmiące ludzi słabych, nieporadnych z powodu ciężkiej choroby. Jakże ci miło, pacjencie szpitalny, gdy krząta się koło ciebie w osobie salowej człowiek z sercem, życzliwy, pogodny, chętny, rozumiejący potrzebę i wagę swojej ciężkiej pracy. I Tobie dzięki za Twą służbę przy chorych, salowo!

Pozdrowienia z Węgier

Z tegorocznego urlopu spędzonego na Węgrzech przywiozłam dla polskich ewangelików pozdrowienia od parafii reformowanej w Siofok. W tym węgierskim Sopocie spędziliśmy 2 tygodnie, mieszkając w maleńkim domku u pewnego murarza. Nasz gospodarz budował w tym czasie, na tej samej posesji, willę dla swej dorastającej córki, Mariki, a Marika sprzątała w naszym domku i częstowała nas codziennie gotowaną kukurydzą. Pewnego dnia pokazała swoją fotografię, która musiała być zrobiona w dniu konfirmacji. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że nasz gospodarz jest ewangelikiem. Postanowiłam dowiedzieć się od niego, gdzie w Siofok jest kościół reformowany, ale było to przedsięwzięcie dość trudne, gdyż nasz Węgier nie znał żadnego obcego języka i rozmowy odbywały się w dużym stopniu na migi.

Toteż w najbliższą niedzielę nie byłam pewna ani adresu, ani godziny, ani też, czy kościół, którego szukam jest ewangelicko-reformowany, czy też ewangelicko-augsburski. Gdy na pewnym skrzyżowaniu stanęłam bezradna, pomogły mi dzwony, następnie zaś drogę wyznaczali ludzie spieszący w jednym kierunku, ubrani odświętnie i stosunkowo ciemno.

I oto znalazłam się na miejscu. Za drewnianym ogrodzeniem stał maleńki kościołek. Żywopłot doprowadzał na ganeczek okolony wieszakami, gdzie oprócz tego zwrócił moją uwagę sznur połączony z dzwonem na maleńkiej wieżyczce. Wnętrze kościoła, a właściwie sali, było bardzo skromne, podłoga z surowych desek, na Stole Pańskim Pismo święte, zamknięte. Z jednej strony fisharmonia, z drugiej ławka dla księdza połączona z amboną. Na ścianie krzyż z czarnego drutu wraz ze znakami alfy i omegi. Oprócz tego — symbol ekumenii — łódź. Ksiądz w todze. A więc sprawa stała się jasna— byłam u siebie.

Byłam wśród bliskich. Ten sam układ nabożeństwa (po kazaniu był chrzest), tylko niestety, nie mogłam się nawet domyśleć, jaką myśl zawierała Ewangelia. Mój zasób słów z tego trudnego języka, po dwukrotnym pobycie na Węgrzech, nie przekracza 30—40 określeń, a więc rozumiałam jedynie „Jezus Chrystus", co brzmi po węgiersku „Jezusz Chrysztusz", oraz „ban" (na-

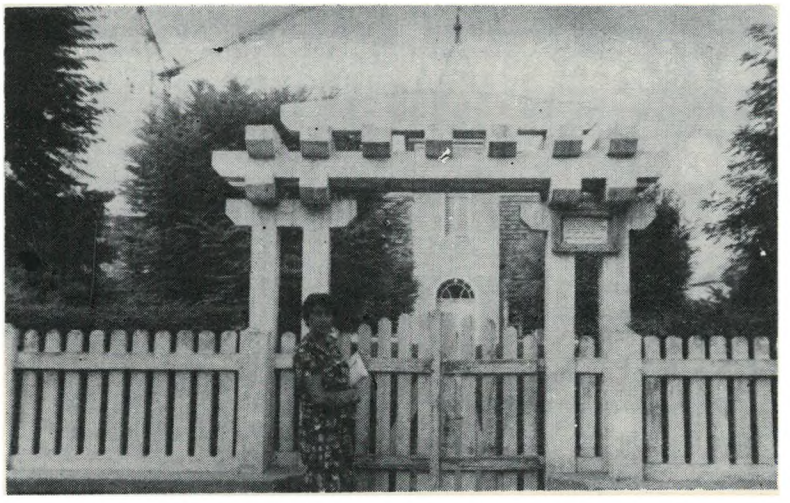

...I OTO ZNALAZŁAM SIĘ NA MIEJSCU. ZA DREWNIANYM OGRODZENIEM STAŁ MALEŃKI KOŚCIÓŁEK...

miestnik króla) i wreszcie „gyermek" (dziecko). Właśnie specjalnie wsłuchiwałam się w często powtarzane owo słowo „gyermek" (może mowa była o młodości Jezusa?), zawierające obcą polskiej fonetyce zgłoskę „gy", chcąc ją sobie przyswoić poprawnie.

Ostatnia pieśń i koniec nabożeństwa. Parafianie wychodząc kupują gazety (samoobsługa), a pieniądze przeznaczone na kolektę wrzucają do specjalnej puszki. Potem grupkami rozmawiają w ogródku — witają się, uśmiechają do siebie. Jest widoczne, że znają się wszyscy. Pastor rozmawia z różnymi osobami. Wszystko to wygląda tak, jakby za płotem nie była jakaś węgierska „utca" (ulica), lecz — powiedzmy — aleja Świerczewskiego przed kościołem w Warszawie. Po prostu jest zupełnie ten sam nastrój.

Wreszcie przychodzi i moja kolej na rozmowę z księdzem. I tu powstaje codzienny kłopot — ja mówię tylko po niemiecku, duchowny nie zna tego języka. Przedstawiam się więc krótko, przekazuję pozdrowienia z Warszawy i zostaję obarczona miłym obowiązkiem zawiezienia najlepszych życzeń dla Polaków. Na koniec chcę pochwalić się, że zdołałam opanować ten trudny dźwięk zawarty w słowie „gyermek", ale po miłym uśmiechu mego rozmówcy widzę, że widocznie to w dalszym ciągu jest jeszcze podobne do dźwięków, jakie wydają Węgrzy chcąc wymówić słowo „Szczecin". A taka już miałam zamiar być dumna!

Moje wrażenie w kilku zdaniach?

Reformowani są prawie w każdej rodzinie, jest ich naprawdę dużo (ok. 1/4 ludności). Toteż nazwiska ich często przewijają się w historii i w kulturze tego kraju.

I tu następna obserwacja. Dobrze znają historię. Raz co prawda pewien mój rozmówca pomylił Bema z Sobieskim, ale co my wiemy o historii Węgier? Oni lubią mówić o swej przeszłości i o swej teraźniejszości.

W tym, co się mówi o wzajemnej sympatii Węgrów i Polaków, nie ma krzty przesady. Owo świadczenie sobie uprzejmości i wyróżnienie siebie wzajemnie wśród innych nacji, jest już wprost żywiołowe, to jest coś co niesie ułatwienie życia, pogodne spojrzenie na dzisiejszy dzień, jest twórcze, podnosi wiarę w człowieka. To jest jak lawina, jeżeli potrafimy wyobrazić sobie, że lawina może nieść dobro. Zastanawia fakt, że kamyczek, który spowodował ową lawinę był przecież nieduży, nie taki znów istotny, a zdziałał tak wiele.

Toteż Polaków na Węgrzech jest w lecie bardzo dużo (może nawet za dużo?). Kraj naszych przyjaciół jest w ogóle obecnie bardzo modny, więc szalenie zatłoczony. Ale mimo tego, że przekonałam się o tych tłumach na własne oczy, chyba niedługo pojadę tam znów. Bo, co tu dużo ukrywać, zaczynam tęsknić za widokiem ze wzgórzy Gellerta, spadzistymi winnicami, wcale niemomodrym Dunajem i za murarzem znad Balatonu, który nas żegnał powiewając węgierskim wydaniem „Quo vadis".

AS

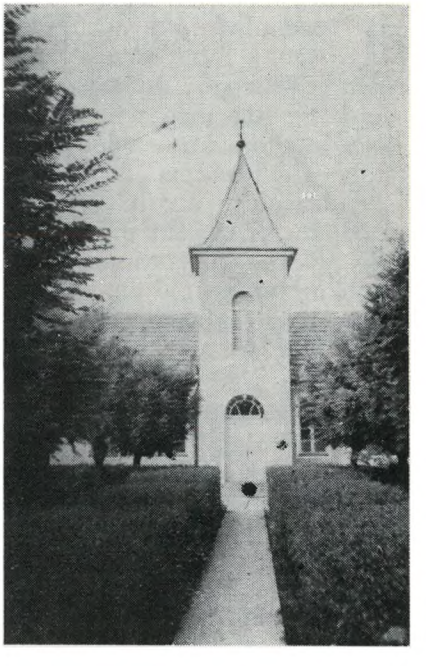

...ŻYWOPŁOT DOPROWADZIŁ NA GANECZEK OKOLONY WIESZAKAMI, GDZIE OPRÓCZ TEGO ZWRÓCIŁ MOJĄ UWAGĘ SZNUR POŁĄCZONY Z DZWONEM NA MALUTKIEJ WIEŻYCZCE...

MŁODA JEDNOTA

Drukowany poniżej artykuł jest trzecim (patrz nr 6, 7—8) z kolei w cyklu zawierającym wyniki rozważań grona młodych ludzi, dyskutujących nad problemami religijnymi.
Redakcja, której stanowisko nie zawsze pokrywa się ze stanowiskiem autorów, zastrzega sobie prawo ustosunkowania się do całego cyklu po jego zakończeniu, a jednocześnie zwraca się do Czytelników z prośbą o nadsyłanie swych uwag i wypowiedzi, o włączenie się do dyskusji na tymi niewątpliwie interesującymi problemami, które nurtują naszą młodzież.

Dziś same znaki zapytania

Na wstępie przypominamy nasze zasadnicze stwierdzenia zawarte w poprzednich artykułach.

Po pierwsze: dyskusja nad problemami religijnymi jest jak najbardziej wskazana i z punktu widzenia nakazów Biblii (Dz. Ap. 6:10; 18:28) i z punktu widzenia naszego zdrowego rozsądku. W związku z tym postawiliśmy w naszym pierwszym artykule pytanie, czy prawdziwie wierzący może z czystym sumieniem ograniczyć zajmowanie się sprawami religii do niedzielnych nabożeństw, a swój zdrowy rozsądek stosować powszechnie i na codzień, nie pozwalając mu jedynie zająć się sprawą dla siebie najistotniejszą?

Po drugie: wierzyć można tylko komuś. Jeśli wierzymy w coś, to znaczy, że wiemy o tym na podstawie doświadczenia własnego, lub przekazanego nam przez kogoś, do kogo mamy zaufanie (do jego wiedzy i do jego intencji, które zdobyte zostały również na drodze doświadczenia). Wynika stąd, że źródłem wiary jest doświadczenie własne (bezpośrednie) lub przekazane (pośrednie). Dotyczy to również wiary religijnej — np. dzieje Abrahama (Gen. 12:25).

W związku z tym, w drugim artykule poświęconym wzajemnemu stosunkowi wiedzy i wiary, pisaliśmy: „Wiedza na ogół zostawia pewien margines na własne pomyłki. Wiara jest wiedzą o rzeczach pewnych, a więc z konieczności jest ograniczona do bardzo wąskiego kręgu problemów. Wierzyć można w pewniki, które stawiamy u podstaw jakiegoś systemu, wierzyć można w miłość matki. Sądzimy, że taki też ma sens zdanie: wierzę w Boga".

Dziś pragniemy wyciągnąć dalsze konsekwencje z tego, cośmy wyżej powiedzieli. Stawiamy sobie pytanie: co to znaczy „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego", co pod tymi tak często powtarzanymi słowami rozumiemy.

Sprawa jest pozornie prosta. Wierzymy w istnienie Boga, bo tak nas uczą własne przeżycia oraz — a często wyłącznie — przeżycia innych ludzi, do których mamy zaufanie. Do takich ludzi zaliczamy w pierwszym rzędzie autorów Biblii. Z ich relacji wiemy (IMoj. 17:1; Obj. 4:8 itp.), że Bóg jest wszechmogący, czyli że każde swoje pragnienie może zmienić w czyn. Proste? Chyba proste. A tymczasem, gdy się nad tym bliżej zastanowić — same znaki zapytania. Spóbujmy dziś przynajmniej jakoś je uszeregować.

1. Czy Bóg w swojej wszechmocy (a w tym pojęciu kryje się również i wszechwiedza) może uczynić coś, czego by potem żałował, coś, co by się przeciwstawiało jego woli? Wulgarnie, tym nie mniej w sposób bardzo popularny, ujmuje to zagadnienie następujące pytanie: — czy Bóg może stworzyć kamień, którego następnie nie mógłby podnieść?

2. Dlaczego Bóg, który jest wszechmogący, a zarazem dobry (Mar. 10:18) toleruje istnienie zła? Skąd się bierze w ogóle podział na dobro i zło?

3. Skoro Bóg jest wszechmogący i wszechwiedzący, a więc wie i decyduje o wszystkim co się stanie, aż do końca świata (Dz. Ap. 1:7), to może wszystko, co my robimy, nie ma żadnego znaczenia, bo i tak nie jesteśmy w stanie nic zmienić z tego, co przeznaczone?

4. Jak wygląda, w świetle poprzednich pytań o znaczenie wszechmocy i przeznaczenia, sprawa prośby człowieka skierowanej ku Bogu (czy można zmienić coś, co jest już przeznaczone) i wiary człowieka, tej, co to „góry przenosi", a więc zmienia (?) bieg zdarzeń zgodnie z wolą człowieka?

Na pytania te słyszy się ze strony osób poczuwających się do zajęcia w tej sprawie stanowiska (wychowawców, opiekunów, często duchownych), na ogół dwa rodzaje odpowiedzi:

1. Pytania są sformułowane naiwnie; wielcy myśliciele, ojcowie Kościoła dawno już te sprawy rozważyli i rozstrzygnęli. Poczytajcie sobie — tu pada tytuł wielostronicowego i niedostępnego na ogół dzieła — a zrozumiecie.

2. Człowiek nie może tych rzeczy zrozumieć, jak uczeń nie jest w stanie zrozumieć genialnych pomysłów profesora. Nie należy o tym myśleć.

Uważamy, na podstawie licznych obserwacji i własnych dyskusji, że pytania te są zbyt powszechne i zbyt dla umysłów chwiejnych niebezpieczne, by można je było zostawić bez odpowiedzi lub odsyłać do dawnych myślicieli operujących pojęciami dziś niezrozumiałymi lub przestarzałymi. Z drugiej strony, choć doceniamy słabość ludzkiego umysłu, to jednak doceniamy i jego rozwój.

Człowiek poznawał etapami otaczający go świat i tworzył sobie o nim system wyobrażeń potrzebny mu do prowadzenia skutecznej działalności na danym etapie. Tak samo chrześci-

janin ma niewątpliwie prawo, a nawet więcej — obowiązek, dobrze zrozumieć to wszystko, co jest mu niezbędne do rozróżniania na codzień dobra od zła.

Postawione wyżej pytania przedyskutowaliśmy w naszym gronie, a wyniki dyskusji staraliśmy się następnie zweryfikować, porównując je z poglądami utartymi w danym środowisku.

Nie chcemy twierdzić, że otrzymane rezultaty są jakimś nowym, absolutnym rozwiązaniem tych zagadnień. Wystarcza nam, gdy zadowalają one nas i nasze otoczenie, dowodzi to bowiem, że między podstawowymi twierdzeniami, w które wierzymy, a zdrowym rozsądkiem, którym na danym etapie naszego rozwoju dysponujemy, nie ma żadnych sprzeczności. Postaramy się to wykazać w następnych artykułach, przedstawiając nasze odpowiedzi na postawione wyżej cztery pytania.

„13"

LISTY • LISTY

W sprawie mitologii, dwulicowości itp.

W 7/8 nr Jednoty został opublikowany list podpisany inicjałami SG, w którym znajduje się wezwanie do dyskusji, dlatego postanowiłem napisać, co o tym myślę, i sądzę, że nie tylko ja zabiorę głos w tej sprawie. Problem poruszony w liście rzeczywiście jest ważny i szersza dyskusja na ten temat byłaby z pewnością pożyteczna.

Nie będę chyba zatrzymywać się nad bzdurnym porównaniem lotu Gagarina z wniebowstąpieniem Jezusa, choć warto przy tej okazji przypomnieć, że nie tylko w dziedzinie religijnej zdarzają się poglądy i zwyczaje anachroniczne.

Poszczególne twierdzenia p. SG zawierają wiele słuszności. Trudno nie zgodzić się z tym, że Kościół powinien być bardziej współczesny i stosować argumenty przemawiające do wyobraźni człowieka XX wieku. Trudno nie przyznać słuszności żądaniu, aby duchowny głosił to tylko, w co sam wierzy. W całym liście zastanawia mnie jednak jego negatywne zabarwienie. Nie trudno jest wyrażać niezadowolenie i wytykać błędy. Krytyka, jeżeli ma być konstruktywna, musi wnosić elementy pozytywne, zawierać jakieś konkretne propozycje („Słyszeliście, iż rzeczono przodkom... a ja wam powiadam..."). List p. SG niczego jednak nie proponuje, ogranicza się tylko do wyrażenia niezadowolenia, a to jest o wiele za mało. Tym bardziej, że szereg jego twierdzeń budzi sprzeciw.

Przede wszystkim nie wiadomo w jakim sensie autor listu używa określenia „mityczny" w odniesieniu do „sformułowań Kościoła". Następnie, co to znaczy „teologia postępowa"? Przy czytaniu tych określeń nasuwają się skojarzenia ze stylem polemicznym niektórych czasopism. Poza cytowaną „trójdzielnością świata", która jest nie do przyjęcia dla dzisiejszego człowieka, niczego konkretnego nie można się dowiedzieć. Trójdzielność świata. Zapewne, prymitywne wyobrażenie o tym, że ponad naszą głową znajduje się niebo z dobrą „Bozią", a pod naszymi stopami piekło, po którym uganiają się czarne diabły z rogami, kopytami i ogonami, jest takim samym nonsensem, jak owo porównanie z Gagarinem. I niebo, i piekło może jednak w stosunku do ziemi i nas, na niej żyjących, stanowić konkretne pojęcia, nic nie mające wspólnego z mitologią. Czym zaproponujemy zastąpić te określenia? Czy mamy wymazać je z naszego słownictwa tylko dlatego, że rażą czyjeś ucho? Jeżeli wielu wyobraża sobie Boga, jako dobrodusznego staruszka, z długą, białą brodą, odzianego w powłóczyste szaty, z łagodnym uśmiechem spoczywającego wygodnie w obłokach, otoczonego rojem pulchnych bobasków ze skrzydełkami w Rafaelowskim stylu, czy to ma znaczyć, że wykreślimy Boga z naszego umysłu i wyrzucimy Go z naszego serca? Niektórzy wszakże taką właśnie decyzję wybierają, nie czując zupełnie jaki popełniają błąd.

LISTY

List zarzuca pozatem duchownym dwulicowość i służenie dwu prawdom. Na pewno jest tu coś, co doprowadziło p. SG do takich właśnie wniosków. Sądzę jednak, że sprawa została i uproszczona i uogólniona zbyt pochopnie. Prawdopodobnie autor listu obraca się w środowisku, które nie spełnia obowiązku głoszenia Ewangelii dzisiejszemu światu.

Wiemy o tym, że są duchowni, którzy z całą dobrą wolą i przy użyciu wszelkiego dostępnego im aparatu starają się z tego obowiązku wywiązywać i z całą odwagą przemawiają do współczesnego człowieka. Sprawa jednak nie jest łatwa, zwłaszcza, gdy duchowny ma duże poczucie odpowiedzialności a stosunkowo mało zaufania do swoich sił i możliwości oceny znanego sobie materiału. Stosunkowo łatwo jest człowiekowi świeckiemu, niejako „prywatnemu" mieć i głosić radykalne poglądy, nawet jeśli nie bardzo zgadzają się z ową kościelną „mitologią". Co ma jednak robić pastor, gdy zdaje sobie sprawę, że chcąc nie chcąc wypowiada się jako „autorytet"? Jedno jest pewne — daleko mniej szkody przynosi wierne głoszenie Słowa biblijnego, nawet w jego dosłownym sensie, wierne trzymanie się określonej interpretacji kościelnej, niż nieodpowiedzialne, pospieszne uwspółcześnianie, unowocześnianie kazań. Wiadomo też, że nie biblijna pobożność opróżniła kościoły, tylko ówczesna „nowoczesność" liberalnych kaznodziei.

Sądzę, że nie jest prawdą twierdzenie autora listu: „Dlatego przeciętny nasz współwyznawca, o ile znajduje się na tym stopniu rozwoju myślowego, na którym (...) stwierdził, że jego świat i pojęcia jakimi operuje Kościół, to zupełnie różne dwa światy — po prostu odwraca się od Kościoła". Przyczyny gromadnego zrywania z Kościołem są zupełnie inne. Po prostu w sercu i duszy nic poważnego głęboko się nie zakorzeniło i stopniowo Kościół stał się często nieuświadomioną przeszkodą na drodze do innych celów. (Patrz przypowieść o ziarnie i roli). Nie wyklucza to oczy-

wiście, pewnego niewielkiego procentu odchodzących z powodu konfliktu poglądów, albo też z powodu osobistych zawodów. Dopiero później powstają zwykle „ideologiczne" podstawy decyzji dla usprawiedliwienia jej przed sobą i innymi.

Myli się bowiem p. SG, jeśli sądzi, że Kościoły „obok prawd moralnych, a więc czegoś w pewnym sensie ponadczasowego, podają im również sformułowania światopoglądowe, do których „dzisiejszego człowieka nie podobna przecież przekonać". Mają Kościoły coś o wiele ważniejszego do zrobienia, czego p. SG nie zauważył. A może to jest ta „mitologia"? Człowiek jest grzeszny, odpadł od Boga, jest w stanie skazania i potrzebuje zbawienia, które może otrzymać jedynie przez Chrystusa. To przede wszystkim jest zadaniem Kościoła. Nawet najgłupsi kaznodzieje (tak, tak głupie kazanie wybrał Bóg) nie wypłoszą ludzi z Kościoła, dopóki będzie tam Chrystus. Widzieliśmy natomiast bardzo mądrych kaznodziejów, którzy pomimo całej zgodności z współczesnymi poglądami, pomimo całego „naukowego" podejścia do zagadnień i odrzucania „mitologii", nie potrafili znaleźć zrozumienia.

Pomimo wszystkich zastrzeżeń, list p. SG uważam za ciekawy, jako odzwierciedlenie dość szeroko rozpowszechnionych poglądów i warto podtrzymać dyskusję na ten temat.

St. Br.

Od redakcji

Zamieściliśmy lit p. GS w przekonaniu, że jako kontrowersyjna wypowiedź sprowokuje Czytelników do zajęcia stanowiska w tej sprawie. Obecnie zamieszczamy pierwszy głos w dyskusji i czekamy na następne.

Dnia 21 września 1965 roku zmarł

ś. p.

ks. Karol Wolfram

doktor teologii, profesor wiedzy nowotestamentowej i prorektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, dziekan b. Wydziału Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego, członek Komisji przekładu Pisma Świętego.

„Ten, który sadzi i ten,
który polewa, jedno są,
a każdy swoją zapłatę weźmie
według pracy swojej. Albowiem
Bożymi współpracownikami jesteśmy".

I Kor. 3 : 8—9.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

DATA NABOŻEŃSTWA	PARAFIA EWANGELICKO-REFORMOWANA W WARSZAWIE	PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA ŚW. TRÓJCY
24.10.65 Niedziela 19 po Trójcy św.	Nabożeństwo o g. 11 — ks. B. Tranda	g. 10,00 — spowiedź g. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. R. Trenkler
31.10.65 Niedziela 20 po Trójcy św.	Nabożeństwo o g. 11 — ks. sup. J. Niewieczerzał	g. 10,00 — spowiedź g. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. R. Trenkler
1.11.65 Święto Zmarłych	Nabożeństwo o g. 11 — ks. B. Tranda (Cmentarz przy ul. Żytniej 42)	g. 14,30 — nabożeństwo żałobne w kapl. Halpertów — ks. R. Trenkler
7.11.65 Niedziela 21 po Trójcy św.	Nabożeństwo z Wieczerzą Pańską o g. 11 — ks. sup. J. Niewieczerzał	g. 10,00 — spowiedź g. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. W. Nast
14.11.65 Niedziela 22 po Trójcy św.	Nabożeństwo o g. 11 — ks. B. Tranda	g. 10,00 — spowiedź g. 10,30 — naboż. z Kom. św. — ks. R. Trenkler

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL, REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83. REDAGUJE KOLEGIUM: Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał. Z-cy Red. Nacz.: Ks. Ryszard Trenkler, Ks. Bogdan Tranda. PRENUMERATA: rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer pojedynczy 4 zł. Konto PKO Warszawa — 153-7-905-005. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła.

Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Nakł. 2000. Obj. 1,05 ark. druk. Zam. 1367. E-24